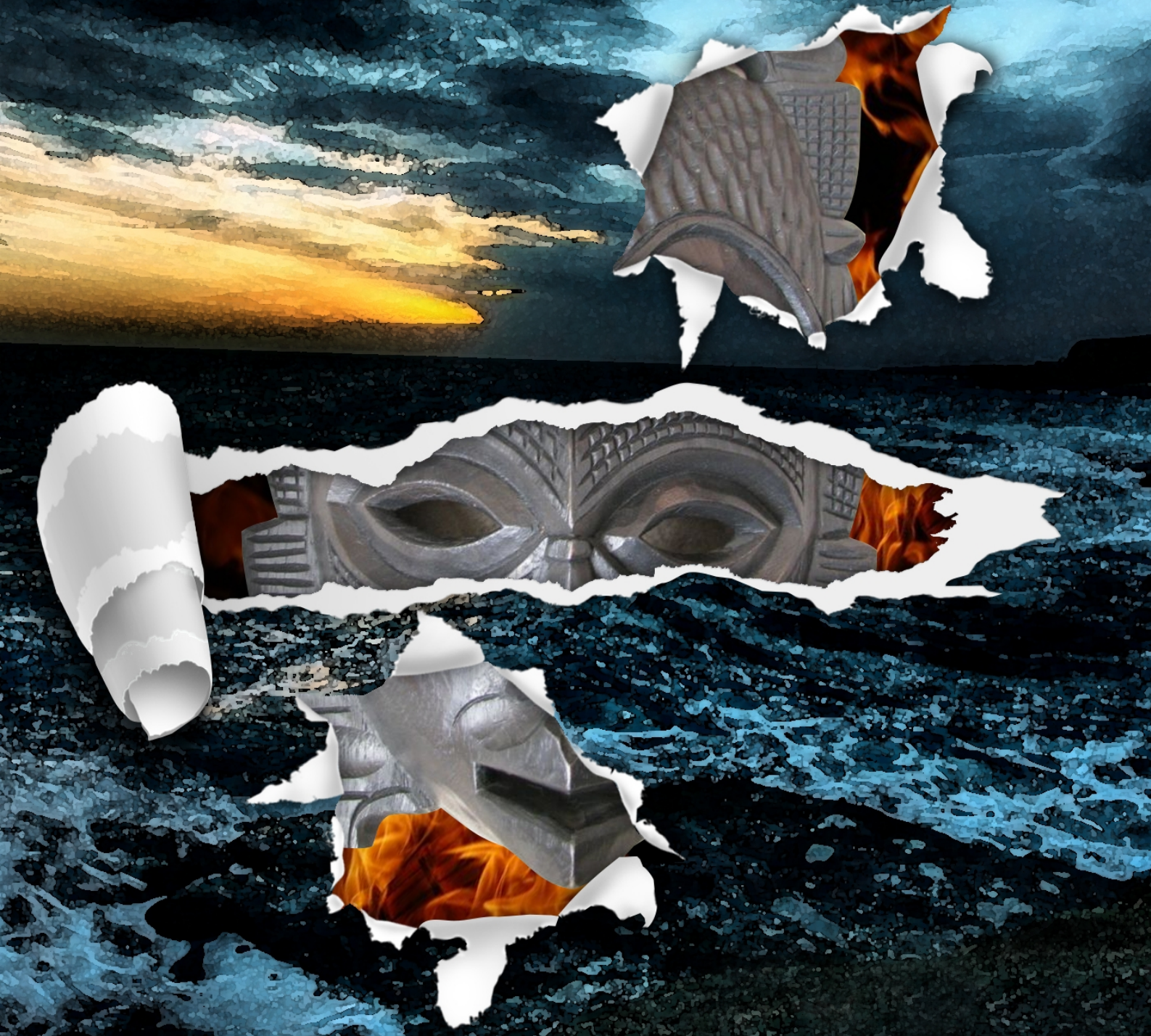


Strażnicy zmarłych



Marian Kowalski

RW2010

MARIAN KOWALSKI
STRAŻNICY ZMARŁYCH

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta Natalia Szczepkowska

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Marian Kowalski 2013

Okładka copyright © Mateo 2013

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

ISBN 978-83-63598-49-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstało to opowiadanie, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

Hebanowa rzeźba.....	4
Strażnicy zmarłych.....	19
Hebanowłosa.....	103
Kradzież w muzeum.....	111
Śmierć na równiku.....	130
Kibic w oknie.....	148
Operacja „Aktywni”.....	157

Hebanowa rzeźba

Po przejściu na emeryturę, za wszystkie oszczędności, zgromadzone podczas lat pracy na statkach handlowych, kapitan Henryk Wnuk kupił niewielki apartament z widokiem na morze, na jedenastym piętrze hotelu *Arka* w Międzyzdrojach. Trzy dni trwała przeprowadzka. Przez trzy dni winda co rano wiozła na górę ciężkie kartony, a po południu zwoziła na parter lekkie, wypchane jedynie szarym papierem pakowym. Afrykańskie maski, figurki, dzbany zastawiały podłogę w korytarzu i w dwóch pokojach. Potem przez kilka dni z najwyższego piętra nadmorskiego hotelu dochodził nierównomierny szum wiertarki i stukot młotka. Roboty te przebiegały w martwym okresie posezonowym, więc właściciel *Arki*, Jan Kujawa, nie skarżył się na hałasy dochodzące zza drzwi pokoju numer 1102, bo nie musiał przeproszać hotelowych gości za dyskomfort powodowany przez jednego z mieszkańców.

Kiedy morze wzburzyły sztormowe wiatry, na jedenastym piętrze *Arki* hałasy ucichły, a wciąż jedyny gość hotelowy rozpoczął długie codzienne marsze z przeszkodami po pustej plaży. Był to mężczyzna wysoki, o szczudłowatych nogach flaminga różowego, nadzwyczaj długiej szyi, szczupły, o twarzy spalonej tropikalnym słońcem, z orlim nosem opadającym na bezkrwistą górną wargę, ze źrenicami koloru bursztynu. Poruszał się energicznie; długimi krokami przechodził pod przęsłami molo, docierając do niemieckiej plaży nudystów, zawracał, na wysokości molo ruszał do śródmieścia. Wybierał jakąś otwartą poza letnim sezonem restauracyjkę, siadał w ciemnym kącie, zamawiał z karty danie obiadowe oraz czarną kawę bez cukru.

Obcy w kurorcie nadmorskim po sezonie budzi zainteresowanie. Z nudów, z braku innych ważnych zajęć, tubylcy – właściciel *Arki*, kelnerzy restauracyjek, snujący się po uliczkach rybacy, którzy nie wyszli w morze – próbowali go zagadywać. Zbywał ich mrukliwie, zniechęcając do ponownego nawiązania kontaktu.

Był samotnikiem, który najlepiej pasowałby do latarni morskiej znajdującej się na skalistej wysepce oblewanej przez wzburzone sztormem fale.

Dni zimowe nad Morzem Bałtyckim wydawały się krótsze niż gdzie indziej. Wilgotny mrok ciągnący znad wody wypełniał uliczki pełne opadłych, gnijących liści, rozpościerał się między ścianami domów patrzących oknami z bielmem żaluzji. Światła latarni nie rozpraszały ciężkiej ciemności spływającej z dalekiej północnej krainy, ciemności wypełnionej jękiem blach, zawodzeniem drutów, przewodów i linek porzuconych przy pawilonach handlowych i kioskach. Termometry nie pokazywały mrozów, a jednak przejmująca wilgoć i chłód zdawały się wdzierać w kanały żył, do wnętrza kości.

Właściciel *Arki* nie potrafił zrozumieć, dlaczego kapitan żeglugi wielkiej, pływający przez lata w tropikach, właśnie takie miejsce wybrał na stały pobyt. Dziwak i tyle; w czym akurat nie było niczego nadzwyczajnego. Znał ludzi morza i często spotykał się z ich niezwykłym, zaskakującym zachowaniem. Wielu z nich zasługiwało na miano oryginała.

Henryk Wnuk wracał do hotelu najkrótszą drogą, jakby spieszył się do apartamentu na jedenastym piętrze i tego, co w nim zostawił. I do drżących od uderzeń wichru szyb w oknach, do bolesnej skargi targanego podmuchami piorunochronu zwisającego tuż przy balkonie. Nie stworzył pomieszczenia przytulnego. Rozwieszona na ścianach afrykańskie maski oraz stojące na półkach figurki z czarnego i brązowego drewna wprowadzały muzealny chłód, egzotyczną obcość. Biały Europejczyk wydawał się wśród nich intruzem. I chyba tak czuł się tutaj kapitan.

Nie przyjmował gości, nikt do niego nie dzwonił, w portierni nie czekał na niego żaden list czy kartka. Nie miał rodziny ani przyjaciół. Dni upływały mu samotnie pośród przywiezionych z Czarnego Lądu pamiątek. Musiał je bardzo cenić i lubić, skoro mu wystarczały.

Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem zaczęły ożywać uliczki kurortu, na molo pojawili się spacerowicze, rozświeciły się okna hoteli. Kiedy zapłonęły pierwsze lampki na choinkach, w recepcji *Arki* stanęła czarnoskóra dziewczyna, za którą kierowca taksówki przytaszczył ciężką walizkę. Po angielsku spytała o kapitana Henryka Wnuka. Na młodym recepcjoniście, Dominiku Partyce, jej uroda wywarła wielkie wrażenie; nie mógł oderwać oczu od gładkiej, okrągłej buzi z ustami koloru dojrzałych wiśni, z oczyma czarniejszymi od ziarenek palonej kawy. Drobną figurkę okrywało białe, puszyste futerko, hebanowe włosy wymykały się spod jasnego kapelusika. Była jak powiew tropikalnego ciepła, w północną, zimową pluchę ciemności wносиła żar spojrzenia, woń egzotycznego kwiatu. Jej obecność targnęła czułymi strunami pragnienia i namiętności chłopaka. Chłonał ją nienasyconym spojrzeniem, ledwo panując nad wyobraźnią wdzierającą się pod futerko, ześlizgującą się po ramionach ku piersiom i niżej, niżej... Stłumił w sobie westchnienie. Wziął walizkę, poprowadził dziewczynę do windy. Jej pojawienie się nie zaskoczyło kapitana. Stojąc w otwartych drzwiach apartamentu, szeroko rozwarł ramiona i przygarnął do siebie gościa. Niezwykły świąteczny podarunek nieba. Godny pozazdroszczenia.

Hotel organizował dla gości uroczystą Wigilię. Kapitan nie skorzystał z zaproszenia; zamówił do apartamentu jedzenie dla dwóch osób. Dominik przywiózł wózkiem żądane potrawy, zastukał do drzwi pokoju numer 1102. Otworzyła dziewczyna i stojąc w progu, podziękowała za dostarczenie jedzenia. Ubrana była w różową koszulę wypuszczoną na krótkie spodenki, które odkrywały gładkie uda. Nucąc cicho jakąś melodię, przejęła wózek i zamknęła za sobą drzwi. Dominik stał jeszcze chwilę pod nimi, oddychał utrzymującą się w powietrzu wonią, nawet próbował podjąć melodię nuconą przez dziewczynę.

Dopiero w drugi dzień świąt zeszli do sali restauracyjnej. Dziewczyna w białym, puszystym sweterku z angory stanowiła uosobienie ciepła i przytulności. Ciemne

dłonie, wysuwające się z szerokich rękawów, zdawały się wyciągać tkliwie do serc samotnych i zabłąkanych. Aż do sylwestrowego balu widywano ich nad morzem, na molo, w kawiarenkach. Wyglądali na bardzo ze sobą zżytych, bawili się dobrze w swoim towarzystwie i nie mieli ochoty na nawiązywanie znajomości z kimkolwiek innym.

Kiedy po świętach kurort zaczął pustoszeć, dziewczyna zjechała windą w towarzystwie kapitana trzymającego jej walizkę. Odwiózł ją taksówką na dworzec kolejowy, a potem długo nie wracał do swego apartamentu; spacerował brzegiem morza – od molo do niemieckiej plaży nudystów, tam i z powrotem.

Nikt nie poznał imienia dziewczyny, nikt nie potrafił określić natury jej związku z kapitanem, ale po opuszczeniu przez nią hotelu nie przestawano o niej mówić. Była wdzięcznym tematem w długie, zimowe wieczory. Snuto przeróżne domysły, co ją mogło skłonić do odwiedzin u Henryka Wnuka. Upłynęły dni, potem tygodnie, od czasu kiedy opuściła *Arkę*, a w pamięci rozmówców wciąż pozostawał jej obraz, który z czasem, zamiast blaknąć, stawał się coraz żywszy, barwniejszy, cieplejszy. Przywiązano się do niej. Dominik Partyka tęsknił za nią skrycie, a kiedy mówił o niej z właścicielem hotelu, z trudem maskował to uczucie obojętnością.

Każda próba wyciągnięcia od kapitana jakichś wiadomości o bezimiennej dziewczynie zawsze kończyła się tak samo: Henryk Wnuk uśmiechał się blade i natychmiast odchodził. Urażony taką postawą kapitana, chłopak zaczął zastanawiać się nad innym sposobem zdobycia wiedzy o czarnoskórej. Chciał choćby poznać jej imię – wtedy łatwiej by mu było o niej marzyć. Żałował, że jako gość właściciela prywatnego apartamentu nie miała obowiązku wpisania się do książki meldunkowej. Uważał, że swą ciekawość zaspokoi na jedenastym piętrze.

Dotrzeć do własnościowych pomieszczeń Henryka Wnuka nie było łatwo. W sejfie leżały zapasowe klucze do pokoi kapitana, ale dostęp do nich miał tylko właściciel hotelu. Pokojówka sprzątała apartament w obecności kapitana. Była

Ukraińką znająca zaledwie kilkanaście słów po polsku, a zapytana o cokolwiek, co dotyczyło apartamentu, zęgnęła się kilka razy i rozdziawionymi ustami szeptała:

– Jej Bohu!... Pohano, pohano... Jej Bohu!

Dominik Partyka nie mógł na nią liczyć.

Wraz z pierwszą wiosenną bryzą czarnoskóra dziewczyna znów zjawiła się w recepcji *Arki*. Kierowca taksówki postawił koło niej ciężką walizę, chuchnął w banknot otrzymany za kurs z dworca i oddalił się. Dziewczyna, ubrana w beżowy płaszcz ze skórzanym brązowym paskiem, głowę miała odkrytą, a jej oczy przysłaniały duże przeciwsłoneczne okulary ze szklami w jasnej, szylkretowej oprawie. Uśmiechnęła się do Dominika bielą drobnych zębów. Nie musiała mówić, do kogo przyjechała. Chłopak dźwignął walizę i poniósł do windy. Gdy jechali do góry, chciał spytać, jaką miała podróż; jednak zabrakło mu odwagi. Tylko się uśmiechał. Dziewczyna odpowiedziała tym samym. I tak uśmiechając się do siebie, przebyli jedenaście pięter. Kapitan, tak jak kilka miesięcy temu, powitał ją serdecznie, bardzo serdecznie, a potem odebrał z rąk recepcjonisty walizę i bezceremonialnie zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

Pogoda sprzyjała spacerom pod wysokim klifem, z osuwającymi się bukami, sosnami, pod Górą Kawczą rzucającą cień na przewiany wiatrami piasek. Wracali do hotelu rozbawieni. Wiosna dodała dziewczynie jeszcze więcej wdzięku i powabu; czar jej postaci i magia spojrzeń chwytaly Dominika za serce.

Raz tylko w słoneczne przedpołudnie udało mu się opuścić stanowisko w recepcji i zerknąć na morze. Było spokojne, najmniejsza faldka nie marszczyła jego powierzchni. Leżało obłaskawione u brzegu plaży, a na niej, opodal drzemiących rybackich kutrów, siedziała czarnoskóra dziewczyna, przesiewając przez smukłe palce złocisty piasek.

Gdy pewnego rzeńskiego ranka kapitan, swobodnie kołysząc w ręce walizką, odwoził ją taksówką na dworzec, Dominik poczuł się tak, jakby to z nim się rozstawała. *Arka* i on tracili tak wiele!

– Do widzenia – rzuciła beztrąsko w jego stronę, nie zdając sobie sprawy, jakie spustoszenie wywołały w chłopaku jej słowa.

Długo brzmiało mu w uszach to pożegnanie. Słyszał je w dzień i w nocy. Sfrustrowany, powtarzał je. Próbował naśladować akcent dziewczyny, ale to nie wystarczyło, by powrócił spokój serca, wewnętrzny ład. Tęsknił za nią. W pamięci stale powracał obraz smukłych palców przesiewających ziarenka piasku...

Kapitan dotknął ramienia Dominika, gdy ten myślami podążał za bezimienną dziewczyną, szedł za nią pod tropikalnym słońcem, odnajdywał ją wśród gigantycznych kwiatów wykradających się z gęstwiny dżungli.

Chłopak nie mógł znieść widoku mężczyzny – z fajką w zębach, w granatowym pulowerze z kołnierzykiem polo. Gdyby miał nadludzką moc, rzuciłby go w splątaną zieleń równikowego gąszczy, z którego już nigdy by się nie uwolnił. Ale kapitan najwidoczniej posiadał zdolność czytania w cudzych myślach; znalazł w oczach chłopaka tęsknotę za dziewczyną i nienawiść do siebie.

– Muszę przerwać to piękne marzenie – powiedział z cieniem pogardy w głosie.
– Może mi pan pomóc?

Kapitan czekał na wsparcie! Dominikowi wydało się to nieprawdopodobne. Równie długo otrząsał się z rozmyślań o dziewczynie, co ze zdziwienia propozycją.

– Zajmie to kilka minut – tłumaczył Henryk Wnuk. – Potem może pan powrócić do swego fantazjowania. – I nie czekając na wyrażenie zgody, zakomenderował: – Proszę za mną.

Wyszli przed hotel. W otwartym bagażniku mercedesa leżał wielki worek kontenerowy „big bag”. Przy pomocy kierowcy taksówki ostrożnie wydobyli go z kufra samochodu i postawili na pierwszym stopniu schodów. Podczas przewożenia

ładunku windą kapitan cały czas go obejmował, jakby obawiał się, że nagle przechyli się w którąś ze stron, uderzy w ściankę windy, co mogłoby go uszkodzić.

Wnieśli przesyłkę, opatrzoną nalepkami z nazwami wielu egzotycznych miejscowości, i postawili pośrodku pomieszczenia. Kapitan niecierpliwie zaczął ciąć kuchennym nożem taśmy samoprzylepne i tkaninę worka. Wysypała się papierowa wyściółka w kolorze morskiej piany, której fala wkrótce wypełniła pokój. Wyłoniła się niej czarnoskóra dziewczyna.

Kapitan odsunął się od figury, opadł w głęboki fotel. Patrzył na rzeźbę takim samym przymglonym wzrokiem, jakim niedawno Dominik spoglądał na dziewczynę przesiewającą przez smukłe palce piasek plaży. Rzeźba tchnęła zniewalającym wdziękiem, dziewczęcym czarem. Niczego, czym modelkę obdarowała natura, nie ukrywała. Przyciągało jej łono, symetrycznie ułożone półkule piersi. Uniesione nad głową ramiona i nieco wysunięta do przodu lewa noga tworzyły wrażenie pełnej otwartości, gotowości do poddania się pragnieniom wpatrzonych w nią oczu.

Mężczyźni długo, w milczeniu cieszyli się jej obecnością.

Chłopak domyślił się, że rzeźbiącemu w hebanie pozowała dziewczyna, którą kapitan gościł u siebie. Tak, to na pewno jej drobna twarzyczka, dopiero dojrzewająca do kobiecości, to jej smukła sylwetka harmonizująca ze szczupłymi palcami rąk. Taką, nagą, widział ją w swych marzeniach. Właśnie taka wносиła w jego życie niepokój, zamęt myśli, zarazem kojącą radość z faktu jej istnienia, uczucie połączone z nadzieją, że może w niedalekiej przyszłości zbliży się do niej, co ukoji poszarpane nerwy.

Kapitan łatwo odgadł uczucia chłopaka wpatzonego w rzeźbę. Był człowiekiem wyrozumiałym i wielkodusznym, pozwolił mu nasycić oczy pięknem Czarnego Lądu. W końcu jednak wstał i oschłym tonem rzekł:

– Proszę mi pomóc ustawić rzeźbę.

Miejsce zostało już wcześniej przygotowane. Kapitan wybrał dla niej tło z półkami pełnymi figurek. Wszystkie one zdawały się trwać w gotowości do spełniania oczekiwań czarnej bogini.

– Skończyliśmy – stwierdził kapitan i pożegnał chłopaka.

Tak uważał właściciel pięknej, hebanowej rzeźby. Ale nie Dominik. Jego pobyt w apartamencie nie miał finału; zatrzaśnięte drzwi otwały długi epilog obejmujący windę, recepcję, a potem ulice kurortu, ciasny pokoik wynajmowany na poddaszu dziewiętnastowiecznego domku rybaka. Najdłużej ciągnął się wśród szarych ścian przesiąkniętych zapachem morza i ryb. W marzeniach Dominika było tyle szlachetnej gładkości hebanu, zmysłowo rzeźbionych wypukłości, linii biegnących ku uczuciom wzniosłym, pięknym, że nędzna klitka zmieniała się w pałacowe wnętrza godne księżniczki.

Rzeźba za drzwiami pokoju numer 1102 nie dawała mu spokoju. Jego myśli krążyły wokół niej i sposobu dotarcia do niej. Nie mógł wybaczyć kapitanowi niegościnnosci. Nie tylko Dominika nie zapraszał do siebie, ale także właściciela *Arki*. A przecież nie po to gromadzi się bogactwa, by je trzymać w ukryciu. Nawet najdroższy kamień *Martian Pink Diamond* czasami jest wyciągany z sejfów na światło dzienne, by mogli nim nacieszyć oczy także inni, których stać jedynie na bilet do galerii. Albo dzieła malarskie: Vincenta Van Gogha, Pabla Picassa, Jacksona Pollocka – ich właściciele wypożyczają swoje skarby muzeom, pozwalają je obwozić po świecie. Tymczasem kapitan okazał się okropnym egoistą! Zgromadził wspaniały zbiór i pilnie strzegł go przed oczyma intruzów.

Z taką siłą, z jaką pokochał rzeźbę dziewczyny, z taką samą mocą znienawidził kapitana. Życzył mu jak najgorzej. Zdarza się tyle nieszczęśliwych przypadków z tragicznym końcem. Czemu los właśnie jego oszczędza? Niech pożycz samochód i wpadnie na jadącego z naprzeciwka tira. Niech zatęskni za morzem do tego stopnia, że przestanie mu wystarczać gapienie się na wodę, chodzenie brzegiem plaży, niech

zapragnię trzymać w ręce ster jakiejś kruchej łódeczki, która popłynie ku horyzontowi, ku zatraceniu w nagłej burzy. Niech naje się trujących jagód i umrze w boleściach.

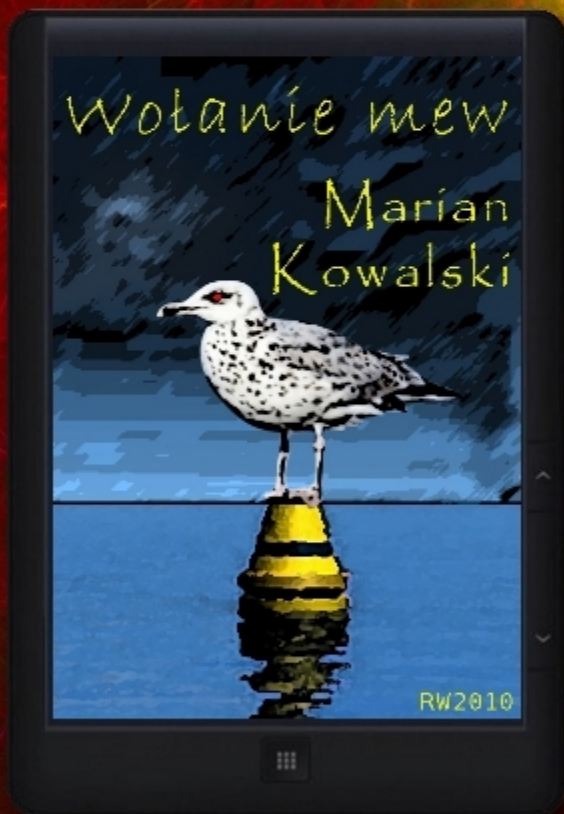
Któregoś dnia po pracy, wracając do domu plażą, trafił na czarny kamień. Miał kształt wydłużony, wrzecionowaty. Jego doskonała gładkość zafascynowała Dominika. Zamknął kamień w dłoniach złożonych w łódeczkę. Czuł jego chłód i wyszlifowaną przez morze regularność obrysu. Niósł ów kamień, jakby nie był zwykłą bryłką skalną, a cennym klejnotem. Kolejne znalezisko stało się dla jego wyobraźni jeszcze cenniejsze. Był to odprysk czarnego drewna, Bóg wie skąd przyniesionego przez fale i nie wiadomo jak długo trawionego przez morską sól. Ta cząsteczka hebanowego pnia świetnie nadawała się na materiał rzeźbiarski. Codziennie, w każdej wolnej chwili dłubał nożykiem w twardym drewnie, zabierał je też ze sobą do recepcji, gdzie próbował wydobyć z niego kształt czarnoskórej dziewczyny. Bezskutecznie. Jej obraz miał wyryty w pamięci, ale to nie wystarczało do stworzenia figurki. Nieraz nożyk osuwał się z twardego drewna, ciał skórę palca i czerwone krople krwi padały na hebanową czerń. Nie wsiąkały w nią, zasychały i po pewnym czasie same odpadały, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu.

Tuż przed rozpoczęciem letniego sezonu, gdy Dominik już zaniechał rzeźbiarskich wysiłków, nieczysty duch podszeptał mu pomysł sprowokowania kapitana. W dokumencie kupna apartamentu znalazł datę urodzin Henryka Wnuka. Kupił bukiet róż i z miną promiennej życzliwości dla solenizanta zastukał do drzwi pokoju 1102. Stał w nich kapitan z fajką w zębach. Popatrzył na trzymane przez Dominika róże. Jego twarz wyrażała tylko zdumienie. Wahał się, czy zatrzaskać drzwi przed bukietem i bezczelnym spojrzeniem recepcjonisty. Co go powstrzymywało od tego zamiaru? Zwykła ciekawość?

Oficyna wydawnicza **RW2010**

**Na każdą kieszeń
na każdy czytnik**

Powieść kryminalna z mocnym tłem obyczajowym. Dwóch inteligentów, wygadany Żabeł i ambitny Maryśka, zostaje wyrobnikami. Muszą się przystosować do walijskich realiów i ciężkiej pracy fizycznej. A przy tym mają niełatwe zadanie: rozwiązać sprawę tajemniczych zaginięć Polaków na Wyspach...



Powieść obyczajowa z wątkami thrilleru i fantastyki. Przedstawia losy celebrytki i modelki Ingi Bral wpisane w ponurą morską legendę o mewach z duszami topielców.

**Dobre ebooki
w dobrej cenie
szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach**

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!